

Zgodnie z wcześniejszą obietnicą drukujemy fragmenty książki Pani Julii Klusek pt. „*Za mało żeby żyć, za dużo żeby umrzeć*”.

Fragmenty będą dotyczyć przeżyć związanych z życiem na osadzie wojskowej Bajonówka.

Julia Klusek

ZA MAŁO ŻEBY ŻYĆ, ZA DUŻO ŻEBY UMRZEĆ

BAJONÓWKA

Urodziłam się 25 listopada 1901 roku we wsi Jażwiny, niedaleko Tarnowa. Dzieciństwa nie miałam „słodkiego”, pomimo że ojciec był synem zamożnego gospodarza.

Praktycznie, nawet nie zauważyłam kiedy, minęło mi dzieciństwo i stałam się dorosłą, 18-letnią panną. Nie myślałam wtedy, że w moim życiu mogło się coś zmienić. A jednak. Pewnej niedzieli, kiedy szłam właśnie do kościoła z siostrą Weronią, spotkałam koleżankę, której towarzyszył jej brat, postawny i bardzo sztywnie prezentujący się hallerczyk. Po zapoznaniu się, szliśmy dalej razem i rozmawialiśmy. Tak poznałam Franusia. Nie znał tu nikogo, ponieważ przebywał w Ameryce dziesięć lat i niedawno wrócił. W trakcie rozmowy dowiedziałam się, że rodzina uważała go już za zmarłego, bowiem przez cały ten czas nie dawał znaku życia. Aż tu niespodziewanie pojawił się przyjeżdżając z wojska na urlop. W wojsku był kapralem, Brał udział m.in. w bitwie

pod Verdun, otrzymał Medal Niepodległości Nr 39125. Przedtem był w Stanach Zjednoczonych, dokąd uciekł z domu jako 16-letni chłopiec. Najpierw musiał na farmie odpracować trzy lata, by zwrócić opłatę za podróż, później pracował w różnych miejscach i miał się różnych zawodów, aż w końcu dostał pracę w fabryce samochodów u Forda. Dzięki temu „stanął na nogi” i odtąd nieźle mu się powodziło.

Kiedyś Franuś opowiedział mi zdarzenie, które było bezpośrednią przyczyną ucieczki z domu. Otóż któregoś dnia jego matka, wykonując codzienne czynności gospodarskie, weszła do komory, by za chwilę wybiec stamtąd z wielkim krzykiem. Okazało się, że zginęły dwa jajka i podejrzany był tylko jeden - Franuś. Nikt inny nie mógł ich zjeść, tylko on. Franuś tłumaczył się, że nie zjadł, ale matka złapała w odpowiedzi na to miotłę i zaczęła go bić. A on ani nie uciekał, ani się nie bronił, ani nawet nie płakał, tyl-

ko wciąż spokojnie powtarzał, że nie zjadł tych jajek. Matka wpadła w furję i biła na oślep, aż potrzaskała kij od miotły. W jakieś dwa pacierze potem przyszła sąsiadka, która oznajmiła, że właśnie przyszła oddać owe dwa jajka, które wczoraj sobie pożyczyła. Matka Franusia zaczęła płakać. A on nawet nie miał żalu, o to, co zaszło, bo rozumiał że to wszystko z biedy i że nigdy jej nie przewyciężą, chociażby zapracowali się na śmierć. Przed nim do Ameryki wyjechali także dwaj jego bracia i siostra, ale oni zostali tam już na zawsze i nie utrzymywali kontaktu z rodziną.

Los rzucał go po różnych stronach świata, ale po skończonej wojnie z bolszewikami - do Ameryki nie chciał już ponownie jechać. Opowiadał zawsze, że jak ujrzał plakaty za granicą z hasłem „Polska czeka na twoją pomoc”, to coś ścisnęło go za gardło, rzucił wszystko i przyjechał, by stanąć do walki o wolność swojego kraju i tutaj żyć.

Wszystkie koleżanki zazdrościły mi takiego przystojnego i dzielnego żołnierza. W trakcie jego urlopu spotkaliśmy się kilka razy, a jak odjechał, to pisywał do mnie i znajomość nasza utrwalała się. Z wojny wrócił prosto do rodzinnej wioski. Spotykaliśmy się chyba po dwa razy w tygodniu i pamiętam, że zawsze musiała być z nami siostra Weronia.

Lubiłam Franusia, gdyż był poważny, grzeczny, pracowity, nigdy nie mówił nieprzyzwoitych słów ani nie miał głupich powiedzonek, w jakich celowała miejscowa kawalerka. Zawsze przy spotkaniach powtarzał, że w Jażwinach nie myśli zostać, że chciałby pracować w fabryce w Pruszkowie.

Bardzo się polubiliśmy. Podczas jednego ze spotkań, kiedy akurat nie było przy nas Weroni, zapytał mnie, czy zechcę zastać jego żonę. Odpowiedziałam, że tak, ale musi poprosić o zgodę rodziców. Poszliśmy do domu, trochę posiedział, aż wreszcie stremowany zwrócił się do rodziców, prosząc o moją rękę. Oni także darzyli go sympatią, ale ojciec, pamiętam, z troską zareagował na tę propozycję, mówiąc: Z czego będziecie żyć? Ja więcej nie mogę dać jak dwie morgi, bo w domu jeszcze pięcioro młodszych. Na to Franus odpowiedział, że chce się żenić ze mną, a nie z majątkiem. (On sam też teraz nie miał nic, bo jak był w Ameryce, rodzice wszystko zapisali jego siostrze, która wyszła za mąż i niczym dzielić się nie chciała). W tym czasie Marysia przysłała Weroni dokumenty na wyjazd do Ameryki. Chcieliśmy zatem wziąć ślub przed jej wyjazdem i tak się też stało. Wesele odbyło się 11 listopada 1920 roku. Franus odwiózł Weronię do Gdańska (bo stamtąd wy-

jeźdźcą). Po powrocie zamieszkał u swoich rodziców, bo u nas w jednej komorze spało sześćoro dzieci i już w ogóle nie było miejsca. Przychodził więc w ciągu dnia i pomagał w gospodarstwie. Jak ja młóciłam z ojcem, on wyręczał mnie, gdy przygotowywaliśmy opał na zimę, wyręczał ojca i tak płynęły dni.

W lutym 1921 otrzymaliśmy zawiadomienie, iż wszyscy żołnierze, którzy zostają w kraju, dostaną ziemię na kresach wschodnich i będą mogli się tam osiedlać. Należało natychmiast zgłosić się. Bardzo się ucieszyłam, bo nie wyobrażałam sobie innego życia, jak na wsi. W piśmie zapewniano, że przydzielą będą wynosiły po piętnaście hektarów. Ze szczęścia wprost nie mogłam uwierzyć, że będziemy mieli tyle ziemi. O niczym innym nie myślałam, tylko o tym jak urządzimy się, co wybudujemy, co zrobimy po kolei w nowym miejscu.

Mąż od razu postanowił, że pojedzie, na razie sam, na Wołyń i obejrzy to „przedmurze Polski”, gdzie miało w przyszłości rozkwitać bujne życie i kultura, a my zostaliśmy wyznaczeni do budowania tam zrębów naszej państwowości. Tak głosiły wszystkie odezwy. Franuś wrócił po mnie pod koniec sierpnia, wystarał się o wagon, jego ojciec dał nam konia i krowę, również moi rodzice podarowali nam krowę.

Sprowadziliśmy się do majątku Szubków, koło Równego, w województwie łuckim. Byliśmy pierwszym małżeństwem, które przybyło na tę ziemię w ramach akcji jej zasiedlania. Pozostałymi osadnikami byli kawalerowie zwolnieni z wojska. Początkowo mieszkaliśmy w starym budynku na dużej sali wraz z dwunastoma mężczyznami. Każdy miał wojskowe żelazne łóżko, a my jedno na dwoje. Byłam już wtedy w ciąży i zbliżał się czas rozwiązania. Mąż siał akurat żyto w polu, kiedy zaczęłam rodzić. „Na szczęście” jeden z tych osadników był chory i leżał obok już kilka dni, stopniowo wracając do zdrowia. To on zawiadomił zaraz żonę porucznika, mieszkającą niedaleko, a ta zabrała mnie do swojego pokoiku i sprowadziła ukraińską akuszerkę. Pod wieczór urodziła się dziewczynka. Franuś uprosił instruktora, by dał nam małe pomieszczenie znajdujące się pod schodami. Było tam ciemno, a od cementowej podłogi wiało przeraźliwym chłodem. Nie mieliśmy ani piecyka, ani zresztą opału. Warunki okropne. Dziecko po sześciu tygodniach zmarło.

Nadeszła jesień, był październik. Geometry odmierzały działki po jedenaście hektarów przez całe lato i jeszcze zimą. Potem odbyło się losowanie. Cały majątek liczył podobno cztery tysiące hektarów ziemi

i dwa tysiące hektarów lasu. Las upaństwowiono, a ziemia została rozparcelowana. Franuś wylosował działkę odległą od Szubkowa o 12 kilometrów, ale za to bardziej w stronę Równego.

Nasza osada nazywała się Bajonówka, od miejscowości Bajonna we Francji, gdzie formował się 45 Pułk. Wszystkie osady wokół podobnie przybierały nazwy np. Krechowce, bo ułani tamtego pułku odnieśli zwycięstwo pod Krechowcami, Jazłowiec - również i ta nazwa przypominała o zwycięskiej bitwie pod Jazłowcem koło Lwowa, czy Hallerowo, od nazwiska generała Hallera.

Na wiosnę mąż postanowił na naszym polu posiać owies. Ja całą zimę obrzynałam czubki ziemniaków, takie cienkie jak łupinki. Musiały być one z „oczkami”, ażeby mogły zakiełkować. Ukraińcy niczego nie chcieli sprzedać, zresztą trudno było się z nimi porozumieć i nawiązać jakieś stosunki. Każdy osadnik dostał dwa konie wojskowe. Wszystkie one były ślepe i głuche od huków armat i zazwyczaj każdy na coś chory. Naszego konia, którego dostaliśmy od teścia, musieliśmy sprzedać za ziarno pod zasiewy. Z przydziału również dostaliśmy wóz z taboru wojskowego. Był tak ciężki, że jeden koń nawet nie załadowanego nie mógł uciągnąć. Przed rozparcelowaniem pola majątku słu-

żyły za poligon wojskom rosyjskim, a później polskim. Tam, gdzie leżała Bajonówka, poligonu nie było. Teren był bowiem pagórkowaty, pełno parowów i jarów od spływających wód podczas roztopów i po rzęsiстых ulewach. Ziemię tę uprawiali ukraińscy chłopci na tzw. „trzeci snop”, co oznaczało, że dwie trzecie swoich plonów oddawali do starostwa. A plonów wcale nie mieli dużych. Sami przyznawali się, że nigdy nikt tu tej ziemi nie nawoził oprócz zajęcy i ptaków. Nie dbali o ziemię. Nie zależało im na tym, ile na niej urośnie. Gdy tam przybyliśmy - nie siali innych zbóż, jak wyłącznie żyto i owies. Były one za zwyczaj tak marne, że kosili je sierpami, bo kosą się nie dało. I nic prawie z tego nie było.

Od początku wiosny mąż jeździł na nasze pole pracować i ja czasem też by mu pomóc - o ile prace przy gospodarstwie domowym i dużym ogrodzie warzywnym, który założyłam, nie pochłaniały mnie bez reszty. Wtedy sąsiadka pasła mi krowy i brała za to mleko z południowego udoju. Gdy wszyscy nowo przybyli osadnicy mieli już swoje przydziały - każdy z nich dostał od księcia Lubomirskiego po 7 metrów kubicznych drewna. Franuś to drewno zimą okorował i po zasiewach, jak tylko pola obeschły, zaczął zwozić na naszą działkę. Sam ładował na

wóz i sam z niego składał. Zwózka była dodatkowo utrudniona tym, że trzeba było zdążyć, zanim rozpoczynały się ćwiczenia wojskowe przed godziną 7 rano, ponieważ jeszcze w tym rejonie odbywały się na poligonie strzelania. Z załadowanym wozem musiał się później bardzo spieszyć, aby na sześciokilometrowym odcinku poligonowym nie trafiła go jakaś przypadkowa kula. Ja wstawałam bardzo wcześnie, razem z nim. Gdy już popasłam krowy i ugotowałam coś do zjedzenia, brałam koszyk i szłam tych 12 kilometrów, żeby coś pomóc w polu i przede wszystkim zanieść Franusowi obiad. Następnie wracał on wozem wcześniej, gdyż czekały na niego jeszcze inne prace przy dopiero powstającym naszym gospodarstwie, a ja zostawałam aż do zachodu słońca, żeby zrobić możliwie jak najwięcej. Potem musiałam bardzo się spieszyć, z większych górtek zawsze zbiegałam (a byłam znowu w błogosławionym stanie), bo w domu czekało jeszcze sporo zajęć. Trzeba było m.in. wydoić krowy, dać jeść kurom, kaczkom i prosięciu. Z tego wszystkiego na spanie nie pozostawało zbyt wiele czasu. Pewnego razu idąc na pole - zasła- błam. Po prostu usiadłam przy drodze i zasnęłam. Słońce prażyło nie- miłosiernie, a ja spałam jak zabita. Na szczęście jechał wozem sąsiad

i zorientował się, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Opowiadał mi potem, jak jechaliśmy, że obawiał się najgorszego, bo ledwo mógł mnie dobudzić. Od tamtej pory starałam się już nie przemierzać tak długiej trasy pieszo.

Innym dotkliwym utrudnieniem w początkach naszego osiedlania się były kłopoty z kupieniem czegokolwiek. Do Równego było prawie 27 kilometrów. Wszystkie zaś sklepy należały do Żydów i Ukraińców. I z jednymi, i z drugimi, trudno nam było się porozumieć. Szczególnie jednak Ukraińcy niechętnie sprzedawali swe towary Polakom.

Czas mijał i przyszła pora żniw. Mąż żął zboże kosą, a ja odbiera- łąm, wiązałam i ustawiałam w kopki. We dwoje, bez niczyjej pomocy, obrobiliśmy tak całe cztery hektary. Ale bywało, że po wieczery, jeżeli nie słychać było wystrzałów na poligonie, wychodziliśmy ponownie w pole i pracowaliśmy przy zbożu aż zupełnie się ściemniło. Nasza działka podzielona była na dwa kawałki, więc gdy skończyliśmy pracę na polu położonym w pobliżu Szubkowa, szliśmy na drugie w Bajonówce, gdzie zasialiśmy trochę zboża jarego.

Czasami praca wyglądała tak, jakby to zboże po prostu się kradło, bo gdy strzelano, to jeździli żołnierze

rze na koniach i spędzali ludzi z pól i dróg.

Pamiętam pewne dramatyczne zdarzenie z tamtego okresu. Kończyliśmy już pracę, ale księżyc pięknie świecił, więc namówiłam męża, żebyśmy jeszcze trochę pokosili. Ledwie zaczęliśmy, jak rozpętała się strzelanina. Kule przelatywały nad naszymi głowami, a my kosiliśmy. Franuś chciał zaraz wracać do domu, ale ja ciągle przekonywałam go, że to nie strzelają do nas, że z pewnością niedługo przestaną. W tym momencie w pobliżu eksplodował granat. Nasz koń, który pasł się nie opodał, zerwał się wystraszony. Franuś rozgniewał się strasznie i powiedział, że nie po to szczęśliwie wojnę przeżył, żeby tu w bezsensowny sposób zginąć. Ta przykra przygoda zakończyła się jednak dla nas szczęśliwie, nikomu nic się nie stało. Złapaliśmy naszego konia i pojechaliśmy na kwaterę, postanawiając, że już nigdy w czasie manewrów nie wyjdziemy w pole.

Praca na działce, a szczególnie dojszcie czy dojazd do niej owe 12 kilometrów, były wielce uciążliwe i zabierały dużo czasu. Zaczęłam namawiać męża, żebyśmy się tam przenieśli ze wszystkim, co posiadamy, i po prostu już tam mieszkali; nic się nie zmarnuje, każda garstka popiołu, każda odrobina użyźni naszą ziemię. Franuś posłuchał mojego

molestowania i pewnego sierpniowego dnia załadowaliśmy na wóz cały nasz dobytek: świnę, piętnaście kur, sześć kaczek, skrzynię na ubrania, pięć szerokich desek z gruszy na meble od teścia. Z tyłu wozu przywiązaliśmy krowę i pojechaliśmy „na swoje”. Pod gołe niebo. Mąż uzgodnił z sąsiadem, że u niego skosi trawę na tzw. „trzecią kopę” (bo my nie mieliśmy łąki). Następnie zwiózł wysuszone już siano i złożył na kopkę w rogu działki, gdzie był niewielki brzoźowo-osikowy zagajnik, rosło też parę dębów i krzaki tarniny. Miejsce to nadawało się pod przyszłą zabudowę. Mąż oparł ukosnie deski o kopkę siana i tak „zbudował” pierwsze nasze własne mieszkanie. Zapewnione mieliśmy cudowne spanie przy śpiewie ptaków i szumie zbóż. Wstawaliśmy zawsze bardzo wcześnie, by widzieć wschód słońca i srebrną rosę, co połyskiwała na kłosach zbóż. Gdy rano wstaliśmy z tej naszej dziury, nie było końca radości, że jesteśmy tu jednak na swoim. Krowa i koń pasły się przywiązane do drzew, kury siedziały na gałęziach, kaczki w klatce, świnka pokwikiwała uwiązana za nogę, a my cieszyliśmy się ze wszystkiego. W zagajniku rosły grzyby, kury porobiły sobie gniazda i znosiły jajka, aż szkoda było czasu robić przerwy na jedzenie: pracowaliśmy od świtu do nocy.

Najczęściej jadaliśmy chleb i mleko. Wtedy wydawało się to nam najpyszniejszym jedzeniem. Ja pracowałam przez całe dnie w ogrodzie warzywnym, Franuś nieustannie zajęty był pracą w polu, bądź ulepszeniem naszego „gospodarstwa”. Tak było chyba przez dziesięć dni. W święto Matki Boskiej Zielnej padał trochę deszcz. Był potrzebny, ale od tego czasu zaczęło padać kilka razy dziennie, aż wreszcie lało przez wiele dni i nocy bez przerwy. Nastąpiło gwałtowne oziębienie. Wszędzie było mokro. Z wierzchu przeciekało przez deski i woda lała się w pościel, od spodu zaś z pagórków płynęła dosłownie strumykami po „podłodze”. Zrobiona na dwóch ceglach „kuchnia” teraz do niczego się nie nadawała. Nie było kawałka suchego drewna ani słomy na rozpałkę. Bielizna mokra, pościel mokra, a tu nie było gdzie ani tego wysuszyć, ani się ogrzać. W ten deszcz też pracowaliśmy, bo i tak wszystko było przemoknięte. Zimno dawało się we znaki, a przy pracy człowiek chociaż trochę rozgrzewał się. Wreszcie mąż wybrał dogodnie miejsce pod ziemiankę i zaczęliśmy kopać. Ale w tych warunkach prace posuwały się bardzo wolno i w wielkim trudzie. Wieczorami zaś mąż musiał znowu jeździć te 12 kilometrów, pod Szubków, po żyto. Zaprzęgał wóz w jednego lichego

konika, to i niewiele mógł przywieźć. Nieraz - bywało, wracał około północy zbiedzony, przemoczony do suchej nitki, brudny. Stawiał żyto w kopki, żeby choć trochę ocalało dla konia i drobiu. Tak woził je prawie przez miesiąc, reszta została i zmarnowała się. Jak wracał wcześniej, to kopał ziemiankę. Deszcz lał bez ustanku. Gdy on wyjeżdżał, ja zostawałam sama na tym pustkowiu. Nie było wokół żywego ducha, oprócz tych kilku zwierząt. Pewnego ranka zobaczyłam, że moich sześć kaczek leży bez głów w klatce. Widocznie zakradł się lis i biegał wokół, a kaczki wystawiały łebki i przypłacyły to życiem. Duża to była dla nas strata. Innym razem mąż kupił w Równem cztery bochenki chleba. Schowaliśmy je w siano pod głowę. Była już noc, ja sama, a tu coś sapie, szarpie, o mało ze strachu nie umarłam. Zaczęłam krzyczeć. Wreszcie wrócił mąż i uspokoił mnie. Rano okazało się, że to psy wyciągnęły trzy chleby; w krzakach znalazłam jeszcze trochę kawałków i okruczków.

Ciąg nieszczęśliwych wypadków trwał. Mąż zrobił specjalną skrzynkę z zamknięciem - na dwa garnki. W nich zostawiałam mleko na kwaśne, by następnie zrobić ser. Znowy dały znać o sobie psy, które wyrwały skrzynię i całe mleko się zmarnowało. Te wydarzenia jeszcze bar-

dziej pogarszały naszą i tak niedobłą sytuację.

W tym czasie coraz więcej zaczęło napływać osadników i częściej na tym odludziu można było zobaczyć człowieka. Sprowadził się też nasz sąsiad. Nazywał się Dymarski. Jego rodzina była duża, więc miał kto pracować: syn - osadnik, brat - kawaler, jedna siostra - panna, druga wdowa z dwojgiem małych dzieci i dziadkowie - oboje jeszcze dobrego zdrowia. Wszyscy zabrali się od razu do kopania w zbocz pagórka domu na ziemiankę - w ciągu tygodnia mieli dach nad głową. A u nas bieda. Ja już coraz mniej mogłam pomagać, a Franuś w ciągu dnia, jak nie lało, musiał zasiać oziminę, a nocą kopał.

Wreszcie nadszedł dzień 2 października 1922 roku. Było coraz zimniej i nawet ziemia zaczęła zamarzać. Nagle poczułam, że zbliża się rozwiązanie. Na szczęście mąż był w pobliżu. Przywołałam go i spytałam, co teraz poczniemy. Nie miał pojęcia, co trzeba było robić. Powiedziałam, żeby poszedł do Dymarskich i poprosił, aby mnie przyjęli, choć na kilka dni. Franuś aż się rozplakał: jak przyjmą, kiedy tam tyle ludzi. Odpowiedziałam mu, że albo pójdzie, albo mnie tu pochowa. To były ciężkie chwile. Oboje, przytuleni do siebie, popłakaliśmy się nad naszą niedolą, aż

w końcu zdecydował się i poszedł. Wrócił po niedługiej chwili. Załadował na wóz to wojskowe, żelazne łóżko, mokrą pościel i zawiózł mnie do nich, a sam pojechał do ukraińskiej wioski po akuszerkę. Wioska była oddalona o 2 kilometry; noc, błoto - póki ją odnalazł i przywiózł - upłynęły trzy godziny i było już po porodzie. Ja tam zostałam, a on poszedł wydoić krowę i przyniósł mleko. Miałam straszliwe bóle poporodowe. Nie mogłam nic jeść ani pić. Stara gospodyni zrobiła mi „grzanekę”, tj. samogon z cukrem i masłem. Nalała całą szklanicę i kazała wypić. Tłumaczyła mi, że jak tego nie wypiję, to może ze mnie wyprzeć macicę. Razem z Ukrainką-akuszerką zrobiły ze szmat kilka wałków i ścisnęły nimi mój brzuch, od dołu i z boków. Taki bocheneczek z brzucha został mi do końca życia. Następnie musiałam wypić przygotowaną wódkę. Dławiłam się, kaszlałam, bo to była pierwsza wódka w moim życiu (zazwyczaj bowiem wtedy na weselach nie było wódki, lecz pijało się piwo). Widocznie się upiłam, bo spałam całą noc, nie wiedząc nic o Bożym świecie. Ale gdy rano obudziłam się - nic mnie nie bolało.

Franuś każdego ranka przychodził się dowiedzieć, jak czujemy się, ja z synkiem, i przynosił mleko, Gotowaliśmy je, zjadał kawałek chleba,

popijał ciepłym mlekiem i szedł na cały dzień do pracy. Wieczorem znowu przychodził na chwilę nas odwiedzić, gdyż potem umawiał się z innymi osadnikami i szli nocą do lasu po drzewo, bo w dzień pilnowali go gajowi. Wychodzili raz wieczorem, innym razem nad ranem, odbierali - bywało - strażnikom broń i dopiero jak naładowali wozy, to im ją oddawali i kazali się spokojnie oddalić. W dzień strażnicy przychodzili rozpoznawać ludzi. Jeżeli ktoś nie miał jeszcze drzewa wbudowanego w ściany lub schowanego bezpiecznie, to spisywali protokoły i oddawali do sądu. Takich spraw było pełno. Sędziowie wiedzieli jak jest: ludzie przyszli na gołe pola, a drewna nie było można kupić. Każdemu powtarzali, że ma to być ostatnie takie przewinienie. Zazwyczaj nie skazywali, ale bywało, że po dwa i trzy razy sądzili tego samego. Mąż każdego wieczoru jeździł po drzewo, w dzień je ociosywał i wbudowywał.

Jednej nocy spadł puszysty śnieg. Franuś rano nie przyniósł mleka. Czekałam dość długo. Wreszcie zaniepokojona wybrałam się tam pierwszy raz po porodzie. Byłam bardzo osłabiona. Z daleka zobaczyłam, że koń stoi obsypany cały śniegiem, krowa też, świnia też, kury na

drzewie, wszystko zziębnięte. Strach ścisnął mi gardło, jak obręczą. Po-deszłam do miejsca, gdzie kopaliśmy ziemiankę i gdzie był pień po ściętym dębie. I oczom moim ukazał się przerażający widok. Zobaczyłam tam leżącego Franusia, całego przy-sypanego śniegiem. Na pieńku trzymał głowę i nie dawał żadnych oznak życia. Dopiero po chwili, pochylając się nad nim spostrzegłam, że na twarzy śnieg mu nieznacznie topnieje. Gdy go takiego ujrzałam, rozplakałam się żałośnie nad naszym losem. Franuś obudził się. Okazało się, że miał jechać późnym wieczorem do lasu, a już trzy noce nie spał. Ubrał burkę i wtedy nagle zasnął. Na chwilę oparł głowę na pieńku i tak zasnął aż do rana. Byłby tak spał jeszcze długo i zamarłby na śmierć, gdybym go nie odnalazła. Ze strachem pomyślałam, że mogłam go stracić.

Cdn.

Na następnej stronie prezentujemy plan osady Bajonówka.

